



Dzień 12 maja 2014 zapamiętam do końca życia. Druga wizyta u lekarza, trzeci miesiąc ciąży. Wyrok: dziecko nie rozwija się, nie ma tętna. Nie żyje. Trzeba zgłosić się do szpitala. Mam tylko następny dzień na pogodzenie się z rzeczywistością przed zabiegiem. Wszystkie nadzieje i plany zniknęły tak szybko. Za szybko i zbyt nagle...

Rano 14 maja zgłaszam się na izbę przyjęć. Biurokrację przechodzę dość sprawnie. Imię, nazwisko, druga ciąża. A jak przebiegała pierwsza? Bez żadnych problemów, dwa lata wcześniej urodziła się zdrowa Ola. Nie rozumiem, dlaczego teraz tak się skończyło. Dlaczego? Nie ma odpowiedzi na to pytanie. Na oddziale położne rozumieją, gdy płaczę przy podpisywaniu zgody na pochówek dziecka. „*To dusza płacze - mówi jedna - dajcie jej czas*”.

Po podpisaniu zgody dociera do mnie, że przecież moje dziecko będzie mogło mieć grób, więc dostanie tu, na ziemi, swoje miejsce. Resztą zajmuje się pani z Zielonej Góry. Hm, czemu nie mają tu telefonu do kogoś z Gorzowa? Nie jestem w stanie myśleć racjonalnie, ale dzwonię do pani i dowiaduję się, że owszem chowają dzieci, których płeć jest nieznana, ale w grobie zbiorowym, bezimiennym, w Zielonej Górze. W Gorzowie do dziś nie doczekaliśmy się takiego miejsca na cmentarzu. Szkoda, pewnie niektóre osoby skorzystałyby z takiej możliwości. Fakty są takie, że większość kobiet zostawia te kwestie szpitalowi, ale przecież wiele z nich później cierpi z powodu braku wydarzenia takiego jak pogrzeb, czy miejsca pochowania swojego dziecka. Czy dlatego ma być „zutylizowane” w szpitalu, że jest małe, albo że nie określono jego płci? Czy nie zasłużyło na ludzkie potraktowanie tylko dlatego, że za wcześnie skończyło się jego życie? Przecież dla kobiety radość z tego, że urodzi dziecko zaczyna się od dwóch kresków na teście, a dopytywanie, czy wolisz synka czy córeczkę uświadamia, że wszyscy wiedzą, że to „małe Toto” jest przecież kimś bardzo konkretnym. Niestety, w przypadku poronienia perspektywa odwraca się o 180 stopni. Nie ma mowy o dziecku. Jest obumarła ciąża lub płód, który trzeba usunąć. Do tego dochodzi zmowa społecznego milczenia, która nie ułatwia rozmowy na temat utraconego dziecka.

Pani doktor musi u mnie potwierdzić, że ciąża jest obumarła, dlatego mam zgłosić się na USG. Okazuje się, że lekarka zajęta jest akurat kierowaniem kuriera, który zabłądził gdzieś z przesyłką i nie może jakoś natrafić aparatem na moje dziecko! Między jednym a drugim telefonem (razem odbyła trzy rozmowy) pyta mnie, skąd wiem, że dziecko żyło i czy teraz na pewno nie żyje, bo ona „*nie może tu nic znaleźć*”. Trochę się niepokoję, że coś dziwnego się dzieje, ale zaczynam grzecznie tłumaczyć, że na pierwszej wizycie wszystko było w porządku, a

na drugiej lekarz stwierdził brak tętna i wzrostu. Nie muszę dokańczać, bo lekarka straciła już zainteresowanie i dzwoni po pomoc. Na szczęście dr Kozber umie zrobić USG i w formularzu pojawia się „martwa ciąża”.

Zabieg w znieczuleniu ogólnym kończy się po pół godzinie. Wiem tylko tyle, że mam nie spać. OK, w sali gra telewizor, więc to akurat nie będzie trudne, zresztą tyle myśli kłębi się w głowie, że nie ma jak spać. Z korytarza dobiegają głośne rozmowy przy obiedzie personelu. Nie mogę tego słuchać. W końcu ktoś do mnie zagląda i stwierdza, że mogę chodzić, a po południu pójść do domu. Faktycznie, niedługo potem dobiega z dyżurki moje nazwisko: mogę się spakować i iść do domu. Zachodzę po wypis, ale będzie za 2 dni do odbioru, więc pytam tylko lekarza, gdzie mogę odebrać dziecko, bo zgłaszałam chęć pochówku. On nic nie wie i... wychodzi! Oszolomiona po raz kolejny „klasą” tego szpitala pytam położnych, co dalej mam zrobić w kwestii pogrzebu. Tylko pani z Zielonej Góry może się tym zająć. Ona wszystko załatwi. Nic z tego nie rozumiem...

Wracam do domu, do dzieci, do męża i nie wiem, co im powiedzieć. Na szczęście są inni, którzy myślą za mnie. Dzwoni koleżanka, która ma dwójkę dzieci z rzadkim zespołem genetycznym i jakiś czas temu pomagała bratowej, której zmarło dziecko w drugiej połowie ciąży. Dzięki niej kontaktuję się z „Pro Morte”, zakładem pogrzebowym, który zna dobrze takie przypadki jak nasz i już organizował pogrzeby dzieci zmarłych przedwcześnie. Trzeba tylko mieć dokumenty ze szpitala. No tak, ale ja nie mam nic.

Dzięki interwencji mojej koleżanki z „Pro Morte” kontaktuję się następnego dnia z Instytutem Genetycznym w Poznaniu. Owszem, wykonują badania w kierunku ustalenia płci, ale materiał pobierają tylko z kosmówki. Hm, szybko do Internetu i już wiem, co to jest kosmówka. Tylko jak tę kosmówkę oddzielić? Na szczęście pani z Instytutu jest bardzo kompetentna i tłumaczy, że w szpitalu zrobią to bez problemu. Nie wiem, o jakim szpitalu myślała, ale na pewno nie o gorzowskim. Mój telefon na oddział wywołał lekkie wzburzenie. Jak to? Nie zgłaszałam wcześniej, że chcę robić badania genetyczne, tylko chęć pochówku, a to są dwie różne rzeczy. Tak, tłumaczę się, bo nie wiedziałam, że jest taka możliwość, ale przecież mam prawo zrobienia badań i chcę poznać płć, nawet jeśli to potrwa 2 tygodnie, by pochować dziecko w osobnym grobie w Gorzowie. Mam takie prawo i chcę z niego skorzystać. Twierdzą, że teraz to już chyba za późno. Przełączają mnie gdzieś dalej. Nikt nie umie mi jednak pomóc. Chcę porozmawiać z lekarzem, który robił zabieg. Może on się podejmie. Nikt jednak nie wie, kto robił zabieg, a na wypisie nie ma nazwiska lekarza. (Występuję więc do szpitala o kopię dokumentacji medycznej.) Ponownie trafiaam przez telefon na dr Kozber, którą proszę, by wskazała, kto mógłby pobrać kosmówkę do badań genetycznych. Ona jednak nie wie, o co mi chodzi i nie chce rozmawiać przez telefon. Ja jednak nalegam, gdyż nie jestem w stanie przyjechać do szpitala osobiście. W końcu gdy stwierdza, że „nikt nie będzie się w tym teraz grzebał”, rozłączam się. Złość i żal gryzą mnie, ale nie poddam się tak łatwo przecież. W szpitalu jest mur trudny do przebicia, no ale czego innego mogłam się spodziewać. Znowu dzwonię do Instytutu w Poznaniu, prosząc, by nie zostawiali mnie bez pomocy. Pani obiecuje pomoc i w drodze wyjątku proponuje przywieźć wszystko, co mamy i u nich dokonać pobrania kosmówki. Wysyłam więc męża do szpitala, modląc się, by udało mu się wrócić z naszym dzidziusiem. Pokierowano go od razu na oddział patomorfologii i wydano mu podpisany pojemniczek. Następnego dnia rano w Poznaniu

udało się pobrać kosmówkę, a potem oddaliśmy nasze maleństwo do „Pro Morte”, gdyż nie chcieliśmy mieć do czynienia więcej ze szpitalem. Po trzech tygodniach otrzymaliśmy wynik: to był chłopiec. Można było wyrobić odpowiednie dokumenty.

Wielu kobietom nie jest dane dokończyć historii swojego dziecka. Po upływie jakiegoś czasu zdają sobie sprawę, że przecież można było inaczej postąpić, ale często jest już za późno. Nie można cofnąć się do tych bolesnych wydarzeń i niczego zmienić. Ja miałam szczęście. Dzięki dobrym ludziom udało mi się nie załamać i doczytać parę rzeczy tak, by znać swoje prawa.

Do porodu kobieta przygotowuje się przez długi czas; na poronienie nie ma tego czasu. Dowiedziałam się, że szpital ma obowiązek wystawić kartę zgonu, a wtedy w USC wyrobią akt urodzenia z adnotacją „*dziecko martwo urodzone*”. Gdy zna się płeć dziecka, można je pochować, korzystając z zasiłku pogrzebowego wypłacanego przez ZUS na podstawie aktu urodzenia, który jest równocześnie aktem zgonu. Można też skorzystać z zasiłku macierzyńskiego i urlopu macierzyńskiego w wysokości 8 tygodni.

Kto ma o tym poinformować pacjenta? Jak zwykle w takich sytuacjach trzeba liczyć na dobrych ludzi, bo instytucje często zawodzą. Warto jednak walczyć do końca, by godnie zakończyć to, co rozpoczęło się tak cudownie - nowe życie.

Katarzyna Mataczyna